

Sto razy nic i osioł do tego

Przełożyła Katarzyna Jach

Sto razy nic wykończy nawet osła. Tak przynajmniej głosi czeska mądrość ludowa. Coś w tym jest – powtarzam sobie, kiedy jakieś „nic” próbuje wyprowadzić mnie z równowagi.

Podążam rano na autobus jadący do Bratysławy, a tu przed modranskim domem kultury stoi zręcznie zaparkowany dostawczak – centralnie w poprzek chodnika, tak żeby nie dało się przejść. Jest na partizánskich tablicach rejestracyjnych, czyli z Partizánskego, gwoli ścisłości. Jego pojawienie się ma związek z akcją wyprzedazy obuwia z dawnych Batovan¹, którą ogłaszali w lokalnym radiu. I choć ilość głupoty i ignorancji, jaką jest w stanie pomieścić zwykłe debilne parkowanie, każdorazowo mnie rozbraja, to macham tylko ręką i mówię – to nic.

Najemni robotnicy w pikowanych kufajkach rozkopali chodnik, żeby zainstalować w nim jakiś kabel. Zatarasowali dojście do przystanku autobusowego. Trzeba iść ulicą, narażając się na zimny i brudny prysznic spod kół spieszących aut. Ale to nic. W Bratysławie czekam dwadzieścia minut na Tarnawskim Mycie, bo muszę przemieścić się trzy przystanki dalej, poza centrum. Kursuje tam pięć linii, ale akurat teraz nic nie jedzie. Ale to nic. W końcu nadjeżdża napakowany autobus, który wiezie zarówno robotników z okolicznych, dynamicznie rozrastających się placów budowy, jak i mówiących po angielsku turystów z bagażami, niewątpliwie zmierzających na lotnisko. To nic, przynajmniej widzą, jak się żyje w Bratysławie, z której niedługo, na ich wielkie szczęście, odleczę. Żadne miasto nie poniża bowiem swoich mieszkańców tak jak Bratysława. To nic. Przywykli. Przywykliśmy. Uważamy za normalne, że miasto, w którym każdy centymetr kwadratowy pożerają nienasyчени i wysoce wypłacalni inwestorzy, wygląda i funkcjonuje jak zapomniana bałkańska dziura. Przyznam, że nie chciałbym obrażać Bałkanów. Muszę się dostać z powrotem na Tarnawskie Myto, ale ulice są zapchane autami, które prawie w ogóle się nie ruszają. To nic, przynajmniej się przejdę.

Z miasta wracam z powrotem na wieś. Stoję z gromadką ludzi na zamkniętym przystanku, skurczonym w cieniu trzech wznoszących się, fallicznych wieżowców. To nic, dopóki pada woda, jest dobrze. W zimie spadały z dźwigów kawałki lodu. Spadały też kamienie. To nic, przecież nikogo nie zabiły. Spadali także pijani robotnicy. To nic, na budowach trzeba się liczyć ze stratami w ludziach. Ich koledzy, a zarazem potencjalni naśladowcy w pikowanych kufajkach prą w kierunku centrum handlowego, aby kupić piwo i mocny alkohol. A niechże im się dobrze pracuje. Niechże im się lepiej balansuje

¹ Batovany – dawna nazwa miasta Partizánske, gdzie znajdowała się fabryka obuwia Tomaša Bati.

na wysokości. Dyskutują przy półkach z butelkami: „To to, co to, kurwa, jest? Nie kupimy to? Pojechało cię? Patrz tu, kurwa, to kup, to kurestwo”.

To nic, przecież tak mówią także wygoleni faceci, szeroko rozkraczeni w swoich bojówkach, nonszalancko palący papierosy przy swoich drogich, zaparkowanych furach, podczas gdy ich wymalowane blondyny, wciśnięte w hiperwąskie jeansy, biegną do solarium nieludzko przypiekać syntetyczne opakowania swoich ciał. To nic, przecież nie muszą zwracać na nich uwagi. Tyle tylko, że nie potrafię się wyzbyć tak często w Słowacji spotykanego, janosikowego uczucia, że wzbogacili się moim kosztem, że niepostrzeżenie pomagam bogatym, żeby byli jeszcze bogatsi, każdą koroną, którą płacę w restauracji i w sklepie ze zbyt drogim towarem. Wspieram ich nawet każdą licytacją publiczną i przetargiem, które sponsoruję jako obywatel w wieku produkcyjnym. Dzięki temu dorzucam się również do prowizji i wątpliwych transakcji, napełniam publiczne i prywatne portfele. To nic, przecież na całym świecie się kradnie. Tyle tylko, że tu, w Słowacji, dla tej kradzieży mamy zrozumienie. Nie przypadkiem premier trzyma się legendy o Janosiku; trzeba go żywić, opiekować się nim, bo przecież lepiej wymachiwać ciupagą nad głowami albo zrzędzić przy ćwiartce w karczmie, niż na poważnie zaangażować się obywatelsko i patrzeć na brudne ręce działaczy społecznych.

Z podziwem obserwuję kontrast między światem górnych nie wiem ilu tysięcy a światem zachrypniętych bezdomnych z zakrwawionymi, rozbitymi nosami, ze zdeformowanymi, zarośniętymi twarzami. Oba te światy, zrzędzeniem losu, spotkały się na jednej płycie brudnego parkingu i próbują coś sobie powiedzieć na temat rozwarstwienia społeczności słowackiej. To nic, może przynajmniej umocnię swoją pozycję w mizernej, nieszanowanej klasie średniej, która zarabia na chleb, zdana na łaskę biednych instytucji publicznych, służby zdrowia, szkolnictwa i na kulawą sprawność policji. To nic, ciągle wierzę, że klasa średnia nie wyrze albo nie wyjedzie ze Słowacji i że kilku jej członków zostanie, by nadal borykać się z codziennością.

Dzięki Bogu z miasta wracam z powrotem na wieś. W tłumie gnieźdzących się ludzi wyróżniają się dwaj posiadacze czapek z daszkiem, nawet w tłoku popalają papieroski, błogo wydychając dym ze swoich trzewi, ze swoich paszcz prosto w nas, stojących obok. To nic, też jestem palaczem. A i do idiotów przywykłem. Po prostu są. Autobus jest pełny, tak jak zawsze, ale to nic. Miejsc do siedzenia albo chociażby do godnego stania celowo jest mniej niż podróżujących. Właściwie to nie żadna reguła, ale obecnie, wśród ogółu podróżnych, nastała moda na zajmowanie więcej niż jednego miejsca. To nic, przecież jestem asertywny, miejsce sobie znajdę. W ostatnim rządzie na pięciu siedzeniach rozwalają się dwaj młodzieńcy a obok nich plecaki. Pytam, czy mogą usiąść. „Nie, my jeszcze na kogoś czekamy... Jeszcze przyjdą” – odpowiada jeden. To nic, siadam gdzie indziej. Rzeczywiście przyszło jeszcze dwóch kolegów, a zatem jedno z pięciu miejsc mogłoby zwolnić, ale to nic, przecież młodzież potrzebuje przestrzeni. Nie lepsza jest stara, tłusta baba przed nimi. Studiując zdjęcia modelek w czasopiśmie „Kobieta i Życie” albo „Świat Kobiety” czy w jakimś innym, pękatą ręką obejmuje siedzącą obok torbę. To nic, gdzieś indziej człowiek może się tak rozmarzyć, jeśli nie w środkach komunikacji miejskiej.

Z wiadomości dowiedziałem się, że ambasador Słowacji był na dywaniku u pani minister spraw zagranicznych w Budapeszcie. To nic, należy to do jego obowiązków. Premier Fico stanowczo odrzucił ultimatum, ale to nic, przecież jako prezes rady ministrów nie mógł postąpić inaczej. Ze wzburzeniem dodał, że zamierzeniem rządu jest, aby każdy perfekcyjnie opanował język słowacki. To nic. Jeśli dotyczy to nie tylko Madziarów, lecz także Jána Sloty² oraz innych polityków słowackich, to nie mam nic przeciwko. Z całą pewnością także młodzież z autobusów zdejmie z siebie gorset przyzwyczajęń i porzuci nawyk mówienia gwarą. A i uczestnicy debaty na temat „kurwa, chuj” poszerzą zasób swojego słownictwa. A to wszystko dzięki Ficowi, rządowi i jego przezornemu programowi. Nawet Słota uniesiony sprawiedliwym gniewem na Madziarów – i wedle własnych słów również „winem porzeczkowym” – przemówi do dusz zgromadzonych obywateli.

Panią minister sąsiedniego kraju (tak, tę rozczochraną, jak ją kiedyś określił) nazwał tym razem biedulą, z kolei Węgrów – Mongołami. Ale to nic, bo przecież my, Słowacy, wiemy, że on tak wcale nie myśli, że nie należy go brać na poważnie. I jedynie politycy węgierscy są tak przewrażliwieni – tylko „czokolom”, „teszyjk paranczolni”, nie zniosą nawet kilku rdzennych słowackich wyrazów. Ale Fico z tego afery nie robi, ani z Elektry³ Mečiara, ani z ujawniania źródeł finansowania majątków. Jest taki tolerancyjny. Pewnie dlatego słupki poparcia tak mu ślicznie rosną. A i Słota jakoś się trzyma.

„On jest taki dowcipny” – mówi do mnie sprzedawczyni, ale to nic, ona też jest całkiem urocza. Austriacy z kolei mieli słabość do Haidera. To nic, bo mamy przecież wolność i demokrację – zarówno dla tych, którzy ją tępią w rzeczywistości, jak i w ludzkich myślach. Nie wiedzą bowiem, że demokracja wcale nie oznacza władzy ogółu, tak było przecież za komunizmu, ale przede wszystkim chroni mniejszości.

Sto razy nic, pisał już o tym chyba Karel Čapek, ale nie jestem pewien, przecież nie jestem aż tak czytany, nie mam czasu, żeby się doksztalcać. A mimo że tych „niców” nawet stu nie było, może ze czterdzieści – i tak czuję się wykończony jak ten osioł.

„Romboid” 2008, nr 8.

² Ján Słota, przewodniczący Słowackiej Partii Narodowej (*Slovenská národná strana, SNS*).

³ Willa byłego premiera Vladimíra Mečiara sfinansowana z nieustalonych funduszy.



Zdjęcie Tibor Winkler